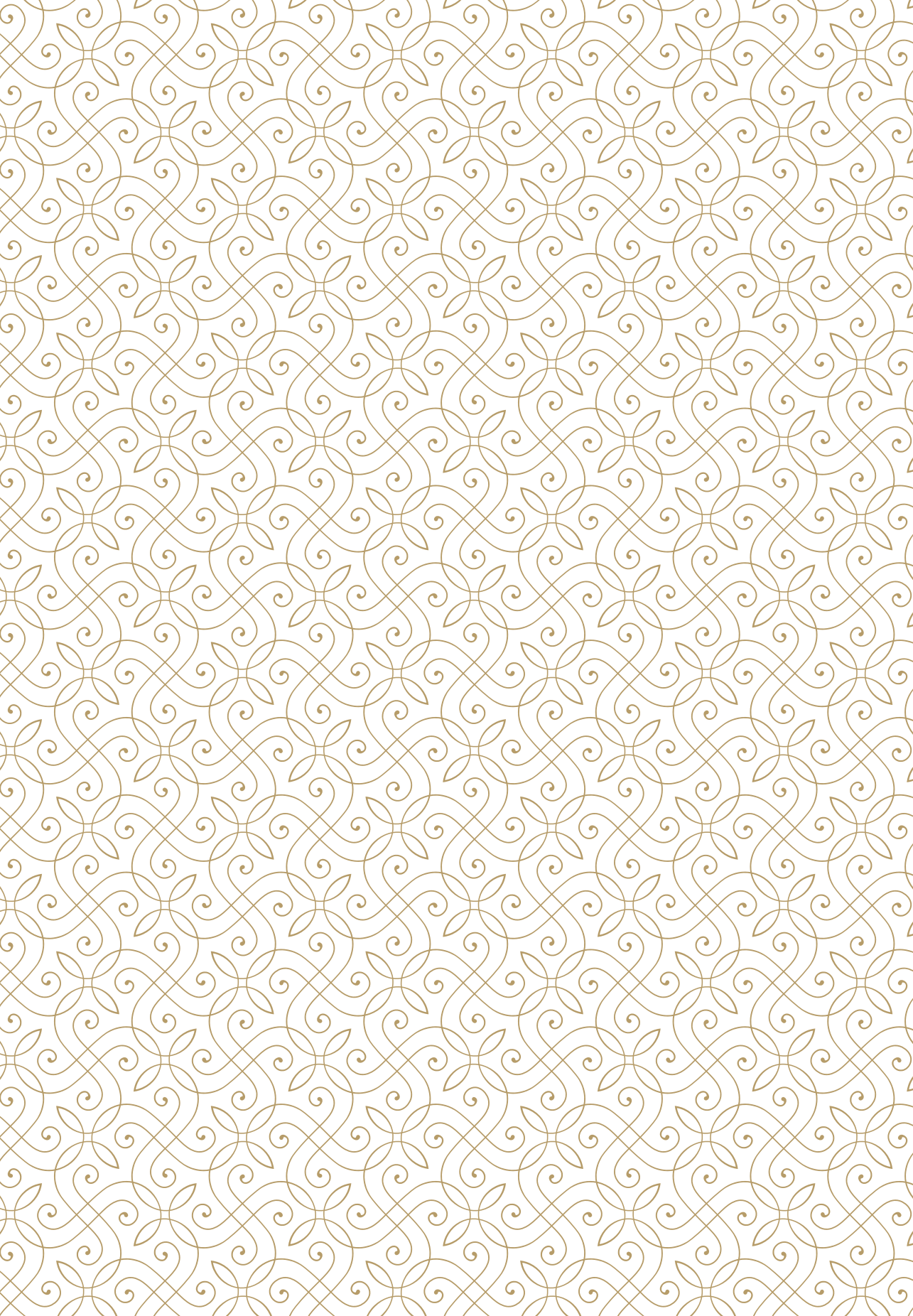


Bolesław Prus

# LALKA



Kolorowa  
Klasyka







Bolesław Prus

Bolesław Prus

# ŁAŁKA



**K** Kolorowa  
Klasyka

Bolesław Prus

# ·L·A·L·K·A·

Ilustracje:

Łukasz Ciaciuch

Redakcja:

Agnieszka Antosiewicz

Korekta:

Agnieszka Antosiewicz, Maria Zagnińska

ISBN 978-83-7517-688-9

Wydanie IV

© Copyright for this Edition by Wydawnictwo GREG® Sp. z o.o.  
2025

Wydawnictwo GREG®

ul. Klasztorna 2B

31-979 Kraków

tel. 12 680 15 50

[www.greg.pl](http://www.greg.pl)

Księgarnia internetowa: [www.greg.pl](http://www.greg.pl)

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana  
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Projekt okładki:

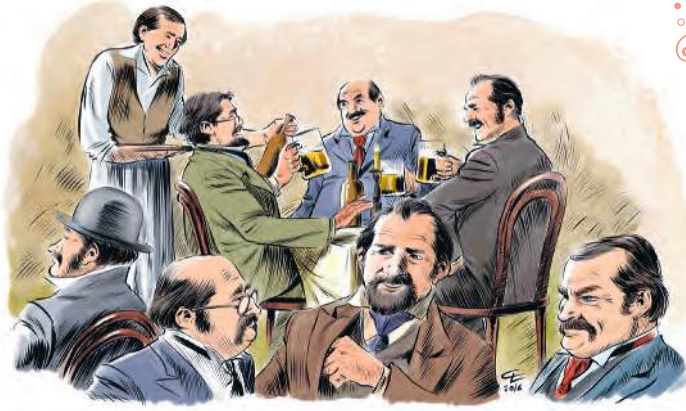
Aleksandra Zimoch

Wykorzystano ilustracje:

Łukasz Ciaciuch

Skład i łamanie:

Pracownia Register



– Zaczekaj pan – przerwał radca. – Przerzucił się, ale nie do galanterii, tylko do Szkoły Przygotowawczej<sup>12</sup>, a potem do Szkoły Głównej<sup>13</sup>, rozumie pan?... Zachciało mu się być uczonym!...

Ajent począł chwiać głową w sposób oznaczający zdziwienie.

– Istna heca – rzekł. – I skąd mu to przyszło?

– No skąd! Zwyczajnie – stosunki z Akademią Medyczną, ze Szkołą Sztuk Pięknych...<sup>14</sup> Wtedy wszystkim paliło się we łbach, a on nie chciał być gorszym od innych. W dzień służył gościom przy bufecie i prowadził rachunki, a w nocy uczył się...

– Licha musiała to być usługa.

– Taka jak innych – odparł radca, niechętnie machając ręką. – Tylko że przy posłudze był, bestia, niemiły; na najniewinniejsze słówko marszczył się jak zbój... Rozumie się, używaliśmy na nim, co wlaźło, a on najgorzej gniewał się, jeżeli nazwał go kto „panem konsyliarzem<sup>15</sup>”. Raz tak zwymyślał gościa, że mało obaj nie porwali się za czuby.

– Naturalnie, handel cierpiał na tym.

– Wcale nie! Bo kiedy po Warszawie rozeszła się wieść, że subiekt Hopfera chce wstąpić do Szkoły Przygotowawczej, tłumy zaczęły tam przychodzić na śniadanie. Osobliwie roiła się studenteria.

– I poszedł też do Szkoły Przygotowawczej?

– Poszedł i nawet zdał egzamin do Szkoły Głównej. No, ale co pan powiesz – ciągnął radca uderzając ajenta w kolano – że zamiast wytrwać przy nauce do końca, niespełna w rok rzucił szkołę...

– Cóż robił?

– Otóż, co... Gotował wraz z innymi piwo, które do dziś dnia pijemy<sup>16</sup>, i sam w rezultacie oparł się aż gdzieś koło Irkucka.

– Heca, panie! – westchnął ajent handlowy.

<sup>12</sup> Szkoła Przygotowawcza – właściwie kurs przygotowawczy do Szkoły Głównej otwarty w 1861 r.

<sup>13</sup> Szkoła Główna – uczelnia wyższa w Warszawie z polskim językiem wykładowym, założona w 1862 r., w 1869 zamieniona przez władze carskie na uniwersytet z rosyjskim językiem wykładowym.

<sup>14</sup> Akademia Medyczna, Szkoła Sztuk Pięknych – uczelnie warszawskie.

<sup>15</sup> pan konsyliarz – lekarz.

<sup>16</sup> piwo, które do dziś dnia pijemy – aluzja do powstania stycziowego.



Zatrzymał się w połowie drogi i patrzył na ciągnącą się u jego stóp dzielnicę między Nowym Zjazdem<sup>115</sup> i Tamką. Uderzyło go podobieństwo do drabiny, której jeden bok stanowi ulica Dobra, drugi – linia od Garbarskiej do Topieli, a kilkanaście uliczek poprzecznych formują jakby szczeble.

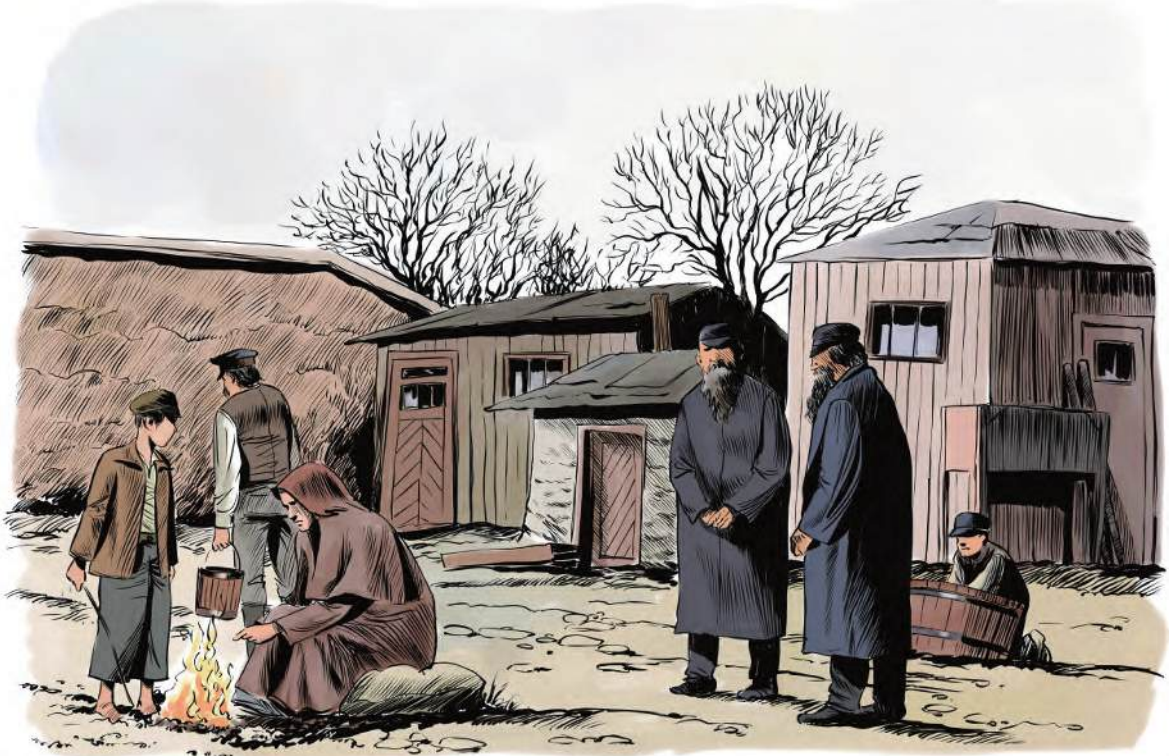
„Nigdzie nie wejdziemy po tej leżącej drabinie – myślał. – To chory kąt, dziki kąt.”

I rozważał pełen goryczy, że ten płat ziemi nadrzecznej, zasypany śmieciem z całego miasta, nie urodzi nic nad parterowe i jednopiętrowe domki barwy czekoladowej i jasnożółtej, ciemnozielonej i pomarańczowej. Nic, oprócz białych i czarnych parkanów, otaczających puste place, skąd gdzieniegdzie wyskakuje kilkupiętrowa kamienica jak sosna, która ocalała z wyciętego lasu, przestraszona własną samotnością.

„Nic nic!...” – powtarzał tułając się po uliczkach, gdzie widać było rudery zapadnięte niżej bruku, z dachami porośniętymi mchem, lokale z okiennicami dniem i nocą zamkniętymi na sztaby, drzwi zabite gwoździami, naprzód i w tył powychyłane ściany, okna łatanie papierem albo zatkanie łachmanem.

Szedł, przez brudne szyby zaglądał do mieszkań i nasycił się widokiem szaf bez drzwi, krzeseł na trzech nogach, kanap z wydartym siedzeniem, zegarów o jednej skazówce, z porozbijanymi cyferblatami. Szedł i cicho śmiał się na widok wyrobników wiecznie czekających na robotę, rzemieślników, którzy trudnią się tylko łataniem starej odzieży, przekupek, których całym majątkiem jest kosz zeschniętych ciastek – na widok obdartych mężczyzn, mizernych dzieci i kobiet niezwykle brudnych.

<sup>115</sup> Nowy Zjazd – biegł od placu Zamkowego do mostu na Wiśle.



„Oto miniatura kraju – myślał – w którym wszystko dąży do spodlenia i wytępienia rasy. Jedni giną z niedostatku, drudzy z rozpusty. Praca odejmuje sobie od ust, ażeby karmić niedołęgów; miłosierdzie hoduje bezczelnych próżniaków, a ubóstwo nie mogące zdobyć się na sprzęty otacza się wiecznie głodnymi dziećmi, których największą zaletą jest wczesna śmierć.

Tu nie poradzi jednostka z inicjatywą, bo wszystko sprzysięgło się, ażeby ją spętać i zużyć w pustej walce – o nic.”

Potem w wielkich konturach przyszła mu na myśl jego własna historia. Kiedy dzieckiem będąc łaknął wiedzy – oddano go do sklepu z restauracją. Kiedy zabijał się nocną pracą będąc subiektem – wszyscy szydzi z niego, zacząwszy od kuchcików, skończywszy na upijającej się w sklepie inteligencji. Kiedy nareszcie dostał się do uniwersytetu – prześladowano go porcjami, które niedawno podawał gościom.

Odetchnął dopiero na Syberii. Tam mógł pracować, tam zdobył uznanie i przyjaźń Czerskich, Czekanowskich, Dybowski<sup>116</sup>. Wrócił do kraju prawie uczonym, lecz gdy w tym kierunku szukał zajęcia, zakrzyczano go i odesłano do handlu...

„To taki piękny kawałek chleba w tak ciężkich czasach!”

No i wrócił do handlu, a wtedy zawołano, że się sprzedał i żyje na łasce żony, z pracy Minclów.

<sup>116</sup> Czerski, Czekanowski, Dydowski – polscy uczeni zesańcy.





„Ach, gdybym wiedział, że śmierć jest zapomnieniem... A jeżeli nie jest?... Nie, w naturze nie ma miłosierdzia... Czy godzi się w nędzne ludzkie serce wlać bezmiar tęsknoty, a nie dać nawet tej pociechy, że śmierć jest nicością?”

Prawie w tym samym czasie hrabina mówiła do panny Izabeli:

– Coraz bardziej przekonuję się, Belu, że pieniądze nie dają szczęścia. Ten Wokulski zrobił świetną jak dla niego karierę, lecz – cóż stąd?... Już nie pracuje w sklepie, ale nudzi się w Łazienkach. Uważałaś, jaką on ma znudzoną minę?

– Znudzona? – powtórzyła panna Izabela. – Mnie on wydaje się przede wszystkim zabawnym.

– Nie dostrzegłam tego – zdziwiła się hrabina.

– Więc... nieprzyjemnym – poprawiła się panna Izabela.

Wokulski nie miał odwagi wyjść z Łazienek. Chodził po drugiej stronie sadzawki i z daleka przypatrywał się migającej między drzewami szarej sukni. Dopiero później spostrzegł, że przypatruje się aż dwom szarym sukniom, a trzeciej niebieskiej, że żadna z nich – nie należy do panny Izabeli.

„Jestem piramidalnie głupi” – pomyślał.

Ale nic mu to nie pomogło.

Pewnego dnia, w pierwszej połowie czerwca, pani Meliton dała znać Wokulskiemu, że jutro w południe panna Izabela będzie na spacerze z hrabiną i – z prezesową. Drobny ten wypadek mógł mieć pierwszorzędne znaczenie.

Wokulski bowiem od pamiętnej Wielkanocy parę razy odwiedzał prezesową i poznał, że staruszka jest mu bardzo życzliwa. Zwykle słuchał jej opowiadań o dawnych czasach, rozmawiał o swoim stryju, nawet ostatecznie umówił się o nagrobek



dla niego. W toku tej wymiany myśli, nie wiadomo skąd, wplątało się imię panny Izabeli tak nagle, że Wokulski nie mógł ukryć wzruszenia; twarz mu się zmieniła, głos stłumił się.

Staruszka przyłożyła binokle do oczu i wpatrzywszy się w Wokulskiego spytała:

– Czy mi się tylko wydaje, czyli też panna Łęcka nie jest ci obojętną?

– Prawie nie znam jej... Mówiłem z nią raz w życiu... – tłumaczył się zmieszany Wokulski.

Prezesowa wpadła w zamyślenie i kiwając głową szepnęła:

– Ha...

Wokulski pożegnał ją, ale owe „ha!” utkwilo mu w pamięci. W każdym razie był pewny, że w prezesowej nie ma nieprzyjaciółki. I otóż w niecały tydzień po tej rozmowie dowiedział się, że prezesowa jedzie z hrabiną i z panną Izabelą na spacer do Łazienek. Czyżby dowiedziała się, że panie go tam spotykają?... A może chce ich zbliżyć?...

Wokulski spojrział na zegarek; była trzecia po południu.

„Więc to jutro – pomyślał – za godzin... dwadzieścia cztery... Nie, nie tyle... Za ileż to?...”

Nie mógł zrachować, ile godzin upłynie od trzeciej do pierwszej w południe. Ogarnął go niepokój; nie jadł obiadu; fantazja rwała się naprzód, ale trzeźwy rozum hamował ją.

„Zobaczymy, co będzie jutro. A nuż będzie deszcz albo która z pań zachoruje?”

Wybiegł na ulicę i błąkając się bez celu, powtarzał:

„No, zobaczymy, co będzie jutro... A może mnie nie zatrzymają?... Zresztą panna Izabela jest sobie piękna panna, przypuśćmy, że nawet niezwykle piękna, ale tylko panna, nie nadprzyrodzone zjawisko. Tysiące równie ładnych chodzi po świecie, a ja też nie myślę czepiać się zębami jednej spódnicy. Odepchnie mnie?... Dobrze!... Z tym większym rozmachem padnę w objęcia innej...”

Wieczorem poszedł do teatru, lecz opuścił go po pierwszym akcie. Znowu wahał się po mieście, a gdzie stąpił, prześladowała go myśl jutrzejszego spaceru i niejasne przeczucie, że jutro zbliży się do panny Izabeli.

Minęła noc, ranek. O dwunastej kazał zaprząć powóz. Napisał kartkę do sklepu, że przyjdzie później, i poszarpał jedną parę rękawiczek. Nareszcie wszedł służący.

„Konie gotowe!” – błysnęło Wokulskiemu.

Wyciągnął rękę po kapelusza.

– Książę!... – zameldował służący.

Wokulskiemu pociemniało w oczach.

– Proś.

Książę wszedł.

– Dzień dobry, panie Wokulski – zawołał. – Pan gdzieś wyjeżdża? – Zapewne do składów albo na kolej. Ale nic z tego. Aresztuję pana i zabieram do siebie. Będę nawet tak niegrzeczny, że zakwateruję się do pańskiego powozu, bo dziś swego nie



W parę dni później był u baronowej księżę w swojej własnej osobie. Zamknęli się oboje w najodleglejszym pokoju i mieli długą konferencję, w trakcie której pani parę razy zanosła się od płaczu, a raz zemdłała. O czym by jednak mówili? tego nie wie nawet Marianna. Tylko po odejściu księcia baronowa kazała natychmiast wezwać pana Maruszewicza, a gdy przybiegł, rzekła dziwnie łagodnym głosem, przeplatając mowę westchnieniami:

– Zdaje mi się, panie Maruszewicz, że mój zbłąkany mąż nareszcie się opamięta... Bądź więc łaskaw, jedź do miasta i kup męski szlafrok i parę pantofli. Weź na swoją miarę, bo wy obaj, biedacy, jesteście jednakowo szczupli...

Pan Maruszewicz ruszył brwiami, ale wziął pieniądze i zrobił sprawunek. Baronowej cena czterdziestu rubli za szlafrok i sześciu za pantofle wydała się nieco wysoką, ale pan Maruszewicz odpowiedział, że nie zna się na cenie, że kupował w pierwszorzędnych magazynach, i już nie mówiono o tym.

Znowu po kilku dniach do mieszkania pani Krzeszowskiej zgłosiło się dwu Żydków zapytując, czy pan baron jest w domu?... Pani baronowa, zamiast wpaść na nich z krzykiem, jak to zwykle robiła, kazała im bardzo spokojnym tonem wyjść za drzwi. Potem zawoławszy Kacpra rzekła mu:

– Zdaje mi się, kochany Kacprze, że nasz biedny pan sprowadzi się do nas dziś albo jutro. Trzeba położyć sukno na schodach od drugiego piętra... Tylko uważaj, moje dziecko, ażeby nie pokradli prętów... I sukno trzeba co kilka dni trzepać...

Od tej chwili już nie wymyślała Mariannie, nie pisywała listów, nie dręczyła stróża... Tylko po całych dniach, z rękoma założonymi na piersi, chodziła po swym rozległym mieszkaniu, blada, cicha, zirytowana.

Na turkot dorożki, zatrzymującej się przed domem, biegła do okna; na odgłos dzwonka rzucała się do progu i spoza przymkniętych drzwi salonu nasłuchiwała, kto rozmawia z Marianną.

Po paru dniach takiego trybu życia zrobiła się jeszcze bledszą i jeszcze bardziej rozdrażnioną. Biegała coraz prędzej po coraz mniejszej przestrzeni, często upadała na krzesło lub fotel z biciem serca, a nareszcie położyła się do łóżka.

– Każ zdjąć sukno ze schodów – rzekła do Marianny schrypniętym głosem. – Panu znowu musiał jakiś łotr pożyczyć pieniędzy...

Ledwie to powiedziała, energicznie zadzwoniono do drzwi. Pani baronowa posłała naprzód Mariannę, a sama tknięta przeczuciem, pomimo bólu głowy, zaczęła się ubierać. Wszystko leciało jej z rąk.

Tymczasem Marianna, uchyliwszy drzwi zaczepione na łańcuch, zobaczyła w sieni jakiegoś bardzo dystyngowanego jegomościa z jedwabnym parasolem i ręczną walizką. Za jegomościami, który pomimo starannie ogolonych wąsów i bujnych faworytów wyglądał nieco na kamerdynera, stali tragarze z kuframi i tłumokami.

– A co to?... – machinalnie zapytała służąca.

– Otworzyć drzwi, obie połowy!... – odparł jegomość z walizką. – Rzeczy pana barona i moje...



Drzwi otworzyły się, jegomość kazał tragarzom złożyć kufry i tłumoki w przedpokoju i zapytał:

– Gdzie tu gabinet jaśnie pana?...

W tej chwili przybiegła baronowa w nie zapiętym szlafroku, z włosami w nieładzie.

– Co to?... – zawołała wzruszonym głosem. – Ach, to ty, Leonie... Gdzie pan?...

– Zdaje się, że jaśnie pan u Stępka...<sup>140</sup> Chciałbym złożyć rzeczy, ale nie widzę ani gabinetu pana, ani pokoju dla mnie.

– Zaczekajże – mówiła gorączkowo baronowa. – Zaraz Marianna wyniesie się z kuchni, to ty tam...

– Ja w kuchni?... – spytał jegomość nazwany Leonem. – Chyba jaśnie pani żartuje. Według umowy z panem mam mieć swój pokój...

Pani baronowa zmieszała się.

– Co ja mówię!... – rzekła. – To wiesz, mój Leonie, wprowadź się tymczasem na trzecie piętro, do mieszkania po studentach...

<sup>140</sup> u Stępka – mowa o składzie win i delikatesów Antoniego Stępkowskiego przy placu Teatralnym.



---

Wczoraj dałem pięć rubli na nabożeństwo na intencję księcia Ludwika Napoleona. Tylko na intencję, bo może nie zginął, choć tak wszyscy gadają... Gdyby zaś... Nie znam ja się na teologii, ale zawsze bezpieczniej wyrobić mu stosunki na tamtym świecie. Bo nużby?...

---

Naprawdę jestem niezdrów, choć Szuman mówi, że wszystko idzie dobrze. Zabronił mi: piwa, kawy, wina, prędkiego chodzenia, irytacji... Wyborny sobie!... Taką receptę to i ja potrafię zapisać; ale potrafi ty ją sam wykonać...

On mówi ze mną tak, jakby podejrzewał, że ja niepokoję się losem Stacha. Zabawny człowiek!... A cóż to Stach nie jest pełnoletni albo czy ja go już nie żegnałem na siedem lat? Lata minęły, Stach wrócił i znowu puścił się na awanturę.

Teraz będzie to samo; jak nagle zniknął, tak nagle powróci...

A jednakże ciężko żyć na świecie. I nieraz myślę sobie: czy naprawdę jest jakiś plan, wedle którego cała ludzkość posuwa się ku lepszemu, czyli też wszystko jest dziełem przypadku, a ludzkość czy nie idzie tam, gdzie ją popchnie większa siła?... Jeżeli dobrzy mają górę, wówczas świat toczy się ku dobremu, a jeżeli gałgany są mocniejsi, to idzie ku złemu. Zaś ostatecznym kresem złych i dobrych jest garść popiołu.

Jeżeli jest tak, nie dziwię się Stachowi, który nieraz mówił, że chciałby jak najprędzej sam zginąć i zniszczyć wszelki ślad po sobie. Ale mam przecucie, że tak nie jest.

Chociaż... Czy to ja nie miałem przecuć, że księżę Ludwik Napoleon zostanie cesarzem Francuzów?... Ha! jeszcze zaczekajmy, bo mi ta jego śmierć, w bitwie z gołymi Murzynami, jakoś dziwnie wygląda...»

---





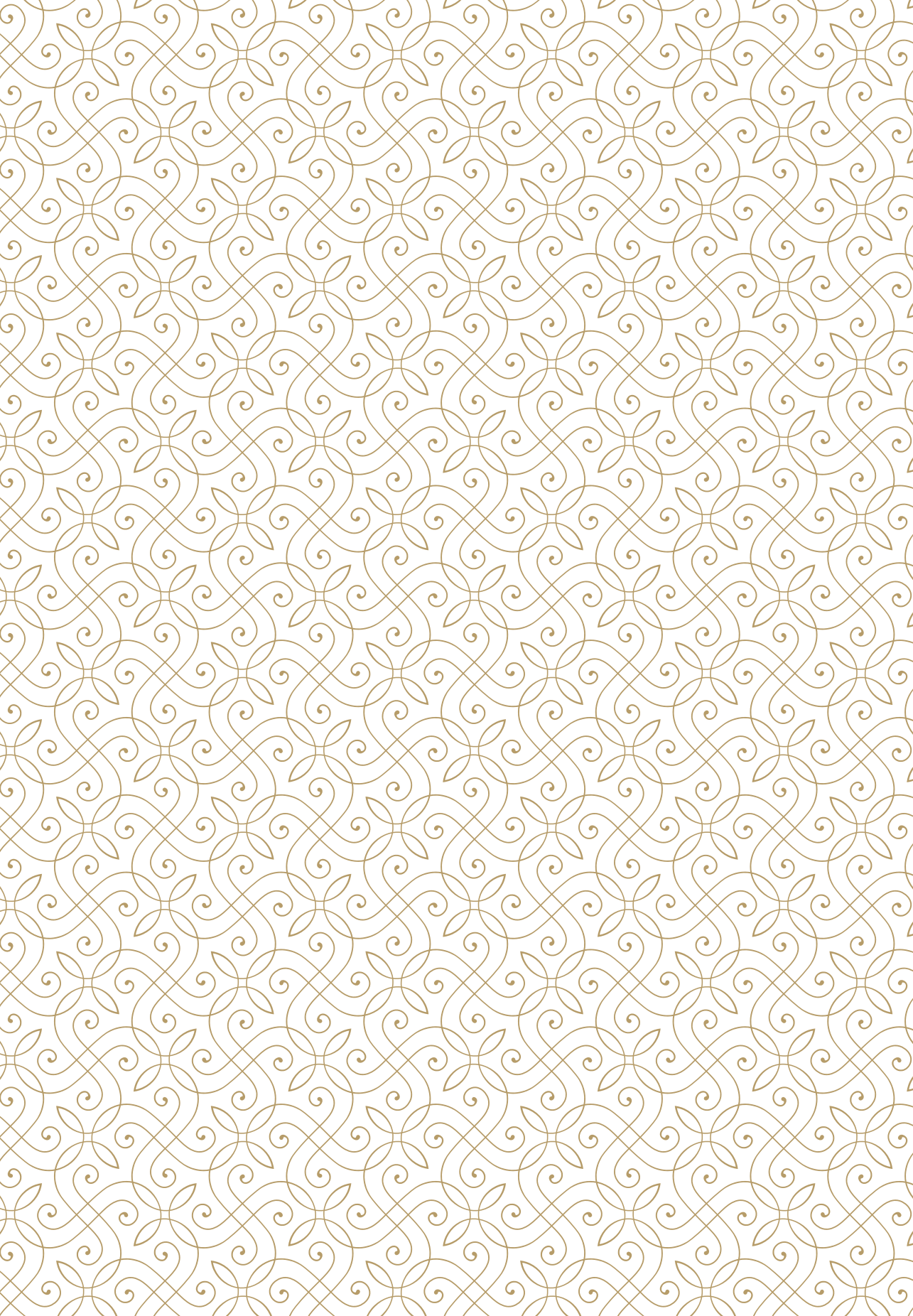
# SPIS TREŚCI

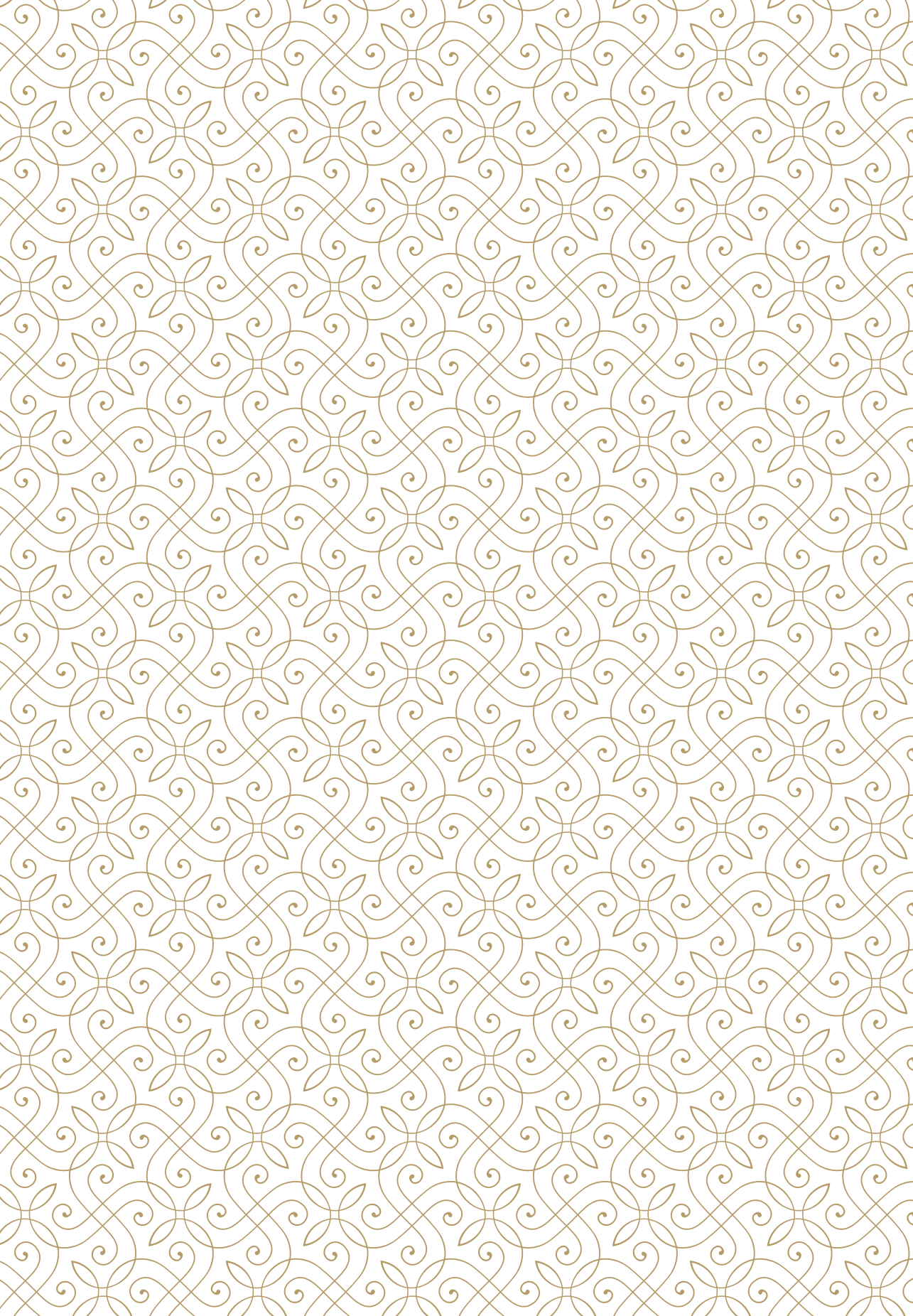
## Tom I

Rozdział I. Jak wygląda firma J. Mincel i S. Wokulski przez szkło butelek?.....	7
Rozdział II. Rządy starego subiekta.....	11
Rozdział III. Pamiętnik starego subiekta.....	18
Rozdział IV. Powrót .....	29
Rozdział V. Demokratyzacja pana i marzenia panny z towarzystwa.....	38
Rozdział VI. W jaki sposób nowi ludzie ukazują się nad starymi horyzontami.....	49
Rozdział VII. Gołąb wychodzi na spotkanie węża .....	63
Rozdział VIII. Medytacje .....	70
Rozdział IX. Kładki, na których spotykają się ludzie różnych światów.....	88
Rozdział X. Pamiętnik starego subiekta.....	112
Rozdział XI. Stare marzenia i nowe znajomości .....	147
Rozdział XII. Wędrówki za cudzymi interesami .....	169
Rozdział XIII. Wielkopańskie zabawy .....	186
Rozdział XIV. Dziewicze marzenia .....	205
Rozdział XV. W jaki sposób duszę ludzką szarpie namiętność, a w jaki rozsądek .....	217
Rozdział XVI. „Ona” – „On” – i ci inni .....	223
Rozdział XVII. Kielkowanie rozmaitych zasiewów i złudzeń .....	232
Rozdział XVIII. Zdumienia, przywidzenia i obserwacje starego subiekta .....	247
Rozdział XIX. Pierwsze ostrzeżenie.....	273
Rozdział XX. Pamiętnik starego subiekta .....	298
Rozdział XXI. Pamiętnik starego subiekta .....	320

## Tom II

Rozdział I. Szare dni i krwawe godziny .....	342
Rozdział II. Widziadło .....	366
Rozdział III. Człowiek szczęśliwy w miłości .....	389
Rozdział IV. Wiejskie rozrywki .....	397
Rozdział V. Pod jednym dachem .....	417
Rozdział VI. Lasy, ruiny i czary .....	433
Rozdział VII. Pamiętnik starego subiekta .....	456
Rozdział VIII. Pamiętnik starego subiekta .....	470
Rozdział IX. Pamiętnik starego subiekta .....	496
Rozdział X. Damy i kobiety .....	515
Rozdział XI. W jaki sposób zaczynają się otwierać oczy .....	529
Rozdział XII. Pogodzeni małżonkowie .....	551
Rozdział XIII. Tempus fugit, aeternitas manet.....	561
Rozdział XIV. Pamiętnik starego subiekta.....	575
Rozdział XV. Dusza w letargu.....	585
Rozdział XVI. Pamiętnik starego subiekta .....	638
Rozdział XVII. ... ? .....	641







*Bolesław Prus*

Uczuł łzę pod powieką, lecz pohamował się i nie splamiła mu  
twarzy. „Zmarnowaliście życie moje... Zatruliście dwa pokolenia!...  
szepnął. – Oto skutki waszych sentymentalnych poglądów  
na miłość...” Złożył książkę i cisnął nią w kąt pokoju,  
aż rozleciały się kartki. Książka odbiła się od ściany,  
spadła na umywalnię i ze smutnym szelestem stoczyła się na  
podłogę. „Dobrze ci tak! tam twoje miejsce... – myślał Wokulski. –  
Bo któż to miłość przedstawiał mi jako świętą tajemnicę?  
Kto nauczył mnie gardzić codziennymi kobietami,  
a szukać niepochwytneho ideału?... Miłość jest radością świata,  
słońcem życia, wesołą melodią w pustyni, a ty co z niej zrobiłeś?...  
Żałobny ołtarz, przed którym śpiewają się egzekwie  
nad zdeptanym sercem ludzkim!”

ISBN 978-83-7517-688-9



9 788375 176889 >

**GREG**  
WYDAWNICTWO

Wydawnictwo GREG  
ul. Klasztorna 2B ■ 31-979 Kraków  
[www.greg.pl](http://www.greg.pl)